

WANDA BORUDZKA (1897 - 1964)

SZCZĘŚCIE SIMY

Z cyklu opowiadań z Bolszeroji „Kurz na olimkach“

Rano Sima jest rywalką.

Krąży po bazarze, zostawiając ślady bosych nóg w puszystej warstwie białego kurzu. Na ręczniku, przewieszonym przez ramię, ma pięknie wyhaftowanego czerwonego koguta. Cóż znaczy wobec świętego towaru tej lotnej spekulantki para podniszczonych pantofli, blaszany lichtarz i złoto oprawiony tom Puszkina innych sprzedawców? O mojej podartej firance lepiej nie wspominać. Niebardo kto chce spojrzeć na nią.

Po godzinie można zobaczyć zamaszystą postać, twarz koloru niedopieczonej bułeczki i czarny chiński koczek w rejonie bab, sprzedających podśmietanie snopki trawy dla kóz i pęczki marchwi. Czerwonego koguta już niema, Sima więc ma obiad zapewniony. Jakoś o tym czasie chłop z wozu kiwnął palcem na mój burżuazyjny zabytek i schował go do dziurawego worka. Niewiele co można kupić za podartą firankę: będą kartofle i pomidory na oleju.

Z bazaru wracamy razem. Sima drepcze energicznie po drewnianym chodniku, który dudni pod bosą piętą. Dyskretnie wpuszcza do mego chudego kosza główkę buraczaną i żółtą dynkę, która nie służy do niczego. Nawet pestki ma niejadalne. Element dziewczyny wsi hoduje ją na grządkach pod chatami, żeby potem zdobyła parapety okien. Takie sobie poetyzowanie wiejskiego serca.

Ciepły uśmiech świadczy o szcerości daru. W okrągłych, czarnych oczach niema jednak rzetelnego współczucia; wyrosnąć mogłoby jedynie na miejscu doszczętnie wypalonego triumfu, którego Sima, swobodnie dysponująca rodzinnym funduszem, nie może ukryć, lustrując ukradkiem swoją szczerze wypełnioną kobialkę.

W porze obiadowej Sima staje się koleżanką. Nie waha się przestąpić wysokiego progu mojej kuchni, który kozy codzień nadgryzają, ale nie mogą jakoś obniżyć. W godzinach gotowania jest to ciche bohaterstwo. Ustawa domowa głosi: drzwi mają być zamknięte, żeby gorąc nie szedł do pokojów. Okna są zabite i wiedzą o tem dobrze kurczęta, obtłukujące szyby dziobami od podwórza. Słońce zlewa blaszany dach ognistą ciecżą. Koszula kompresem łąnie do grzbietu.

(Martynie Edenie, bracie moj w pralni! Ty wiesz, ty wiesz najlepiej. Pójść z tobą, rzucić nasze głowy w soczysty gąszcz nad brzegiem pierwszej wody!

Nie, nie dojdziemy do porozumienia. Ruth obca, Ruth niegodna zimnym kamieniem zalega dno twojego serca. Zostaniemy każde z osobna w tym pierwszym kręgu piekła).

Sima nie przysła bez kozery. Włot zmiarkowała podejrzone dymienie patelni i dołała do niej oleju z przyniesionej butelki.

Kiedy już wszystko jest na ukończeniu, można pójść z koleżeńską rewizytą. Izba jest wielka i chłodna. Dostępu do okna strzeże łopuch, rozkładający na dachu górne piętro liści. Dlatego w kuchni Simy jest zielono. Można ostrożnie, żeby strażnika nie urazić, sięść na parapecie w rozwarości szyb i przyjąć poczęstunek: placek kartoflany na widelcu.

Kurczęta piskolą pod ławą. Jedno z nich siedzi na głowie kota. Układ tej grupy świadczy, że matka-natura spuściła ją na chwilę z oka.

Ile czasu schnie koszula na słońcu? Minutę. Sima też ma koczek na nowo przyładzony. Wykwint ten mówi o skończonej robociźnie. Ogródek służy jak najlepiej poobiedniej rekreacji. Maków jest pięć, nagietek osiem. Sześć morelowych drzewek. Reszta to trawa.

(Stoki barwinkowe, stawie srebrny i złoty, gąszcze nieprzebite, sokiem zielonym płynące! Czyż poruszyłyście kiedy serce tak, jak te chude drzewka morelowe?)

Sima wyciąga się na skąpej murawie i miele w zębach żdźbło perzu. Minęła pora rywalizacji i koleżeństwa. Jest teraz przyjaciółką. Nie marszczy brwi, kiedy wspomni, że chociaż, jako znajdka, nie należy do rodziny, odpowiada za całość portek braciszka Tani, która prowadzi żywot paniński na leżaku, myśląc o kimś, co się kuruje z ran w Marsylji. Do myśli tych trzeba mieć dużo godzin i mało obowiązków. Sima nie ma nikogo w Europie, ale i czasu też. Jak teraz — dwie godziny, póki nie wrócą kozy.

Dużo jest spraw do omówienia. Właściwie jedna, ale codzień staje się ważniejsza. Wszystko na nic, jeśli zaskoczy zima. Sima także chce ze mną iść do kraju, gdzie bez dygotu, że ktoś podsłucha, można uzalić się przy otwartych okiennicach — a może tam nie trzeba będzie się uzalać?

Worek sucharów. Dwie koszule. Będzie się sprzedawać słoneczniki. Soli nie wolno! Za sól jest bardzo wielka kara. Z miejsca na miejsce zabrania się przenosić dary boże, a raczej miłościwie panującej rewolucji. Po sól też zdrowo stać w ogonku. Słonecznik — owszem. Każdemu jest potrzebny. Na ten artykuł handlu władza przymyka oko.

Każdej większej stacji trzeba będzie myć podłogę. To — dla schludności i za włóczegostwo. Coby to było, żeby tak ludzie wolno sobie wędrowali?

Licząc ze wszystkim: trzy miesiące drogi. To nic. Razem nie straszno i cieplej będzie spać w kopicach.

Tam na miejscu też nie odrazu pójdzie gładko. Trykotaże to najlepsze. Praca spokojna. Albo noście cegły. To cóż, że ciężko? Oddychać będzie lekko w wolnym kraju. Gruby fartuch, żeby się odzież nie niszczyła. Budują napewno. Domy potrzebne wszystkim. Dom...

Sima milczy. Sima nie słucha. Sima nie chce!!! (O goryczy, goryczy, lodowaty lęku samotnej wędrowki!)

Sima patrzy na złocistą kurzawę zachodu. daleko za podwórkiem, króliczem półkiem owsa i przydrożnymi oliwkami. Pożuty perz wypluła w małą garstkę. Dom... (to już powtarza Sima). Uśmiecha się płochliwie i uprzejmie, jak odchodzący, co nie zostawiają nic za sobą, albo pozostający, bo ich coś najdroższego trzyma. I nagle — o głupoto, tępoto, egoizmie! To noc majowa wzięła Simę. Jakże tu było z pustym sercem przetrwać noc majową?

Znikając z ziemi, raj się rozproszył po niej zakątkami. Jak wiele rzeczy ślicznych, kwitną w maju. Jeden z nich darował się, jak łaska, naszym oczom.

Na tej majówce, na którą nas pewnego razu zaproszono, nieprawdą okazało się przypaść do równiny, płowe od kurzu miasteczko. Dom przestronny, o przezroczywej, pachnącej atmosferze, stał w ogrodzie, jak w zielonej zatoce. Kwitł panińskim pokojem, o delikatnie falujących firankach. Krzaki jaśminowe — w domu mówiono: bukiety — stały po kątach. Przy stole jadło się srebrnymi nożami i widelcami. Miód i masło w misternych kulkach na białym chlebie! Czy to prawda, że widelce trzeba było odnieść na targ i prościej było jeść drewnianą łyżką? W kryształowych dzbanach musowała woda z sokiem brzoskwiniowym.

Nie była to zwykła wizyta u „specy“, któremu dano spokój z rekwizycją. Sima wie o tem i przez stół zaśmiewa się, że mogła przedtem tak pomyśleć. Gdzież się podział misterny koczek? Czarne loki opadają na białą sukienkę, nie z merli przecież! z muślinu. Twarz anemicznej bruneteczki ma białość mlecznego szkła. Sima wychyla się z okna i zrywa z krzaka małą kulkę, która przy lampie ma kolor majowego masła. To róża. Nagły okrzyk — radości? — powoduje zwinny wskok przez okno jakiejś męskiej kocio zręcznej postaci. Sąsiad. Mieszka w domu obok. Słyszał, że są goście. Przeprasza, że może nastraszył. A czy nie lepiej byłoby pójść do ogrodu?

Nietylko lepiej, ale inaczej niepodobna. Taka noc przecież, taka noc. Pod rozpiętymi wysoko różyczkami leży się pokotem na derkach. Nie, na trawie cienkie suknie nasiąkną wilgocią. Rozmawia się i milczy. Jak kto woli. Już pewno późno? Nie, takiej nocy nie spędza się pod dachem. Tu się doczeka świtu. Tyśiąć i jeden zapachów krzyżuje się nad głowami. Słowik. Jakże tu mówić o słowiczym śpiewie? O tem — nie wolno. Ani słowa. Rosa. Och, komuż to i kiedy wyjadła oczy? Leży na ustach. Pachnie. Poi spieczony wzruszeniem naskórek. Pada z gwiazd. A może to gwiazdy spadły? bo już ich niema. Znalazły się zato jeden po drugim wszystkie ptaki, które noc pochowała w gałęzie.

Ktoż to wymyślił różane palce jutrzence? Ma całe ciało różane. I na jej tle ten drugi dom jawi się nagle oczom. Może zstąpił z nieba? Drewniany, szeroko rozpostarty. Na pustej werandzie stoi leżak. Ma płótno oderwane z jednej strony. Okna zamknięte, jakby nikt w nim nie mieszkał. „To mój dom“ — słysząc czyjś głos, schrypnięty od wzruszenia. I ktoś całuje rękę Simy.

Może to słońce złotem oszklilo czarne, już nie okrągłe, oczy? Sima patrzy. I już jest wszystko jasne. bo przecie noc minęła

Żółte róże oplotą tę pustą werandę. Otworzą się na słońce falujące firankami szyby. Zapachnie chlebem i miodem. Zaludni się tu, zapelni, macierzyńską krzątanią. Sima patrzy. Tak na ul swój patrzy pszczoła. Robotnica? Nie. Królowa? Nie. Królowa-robotnica.

(Może i nie straszno będzie iść samej dalekimi taśmami dróg włóknami ścieżek żwirem przeszkód. wiedząc, że się zostawia kogoś szczęśliwego?)

List z Rosji przyszedł, zapisany pomyjkowym atramentem:

„Niedawno sprawiłam sobie palto. Ale materiał był niedobry i wyrudziało. Mieszkam, jak dawniej, z Tanią i jej rodziną, ale w jednym pokoiku. Cieszę się, że masz ładne mieszkanie. I nie potrzebowałaś nawet nosić cegieł“.

Nie masz więc domu Simo. I ja go nie mam. I nikt. Namiot tylko możemy rozbić pod słońcem, pod chmurą, pod gwiazdą. Wiatr szarpie skrzydłem.

